

Karolina Oponowicz

Bozie

ilustracje: Joanna Rzezak

czyli
jak wygląda Bóg?



Bozie

Maryni i Antosi

Karolina Oponowicz

Bozie

**ilustracje: Joanna
Rzezak**

**czyli
jak wygląda Bóg?**

Wstęp

Kiedy byłam małą dziewczynką, nie musiałam się zastanawiać, jak wygląda Bóg. Na ścianie w moim kościele był namalowany siwy starzec z brodą, który siedział na chmurze. To musiał być Bóg! Nie rozumiałam tylko, kim są pulchne bobasy tuż obok niego. Byłam też ciekawa, dlaczego księża chodzą w czarnych sukienkach do kostek. I jak to się stało, że na dachu pobliskiej cerkwi jest całkiem inny krzyż niż na dachu kościoła. Zastanawiałam się, czy każdy ksiądz prawosławny ma brodę. Z kolei podczas wizyty w synagodze widziałam białe-czarne szale i wielką księgę nawiniętą na rzeźbione wałki – usiłowałam sobie wyobrazić, do czego służyły żydom.

Wypytywałam o to wszystko dorosłych. Ale oni mówili: „Tak to już jest”. I wracali do swoich zajęć. A nawet jeśli próbowali mi coś tłumaczyć, niewiele z ich słów rozumiałam.

Wiele lat później moje córki zaczęły mi zadawać podobne pytania: „Dlaczego mnisi są łysi?”, „Co to znaczy, że ktoś się modli?” albo „Jak to możliwe, że Jezus w kwietniu umarł, a w grudniu się urodził?”. I nie dawały się zbyć zdaniem „Tak to już jest”. Nie pozostało mi więc nic innego, jak poszukać odpowiedzi.

Zebrałam od znajomych dzieci jeszcze więcej pytań związanych z religią, Bogiem i Kościołami, a potem poszłam do duchownych sześciu wyznań. Diakon Małgorzata, imam Janusz, ksiądz Artur, lama Rinczen, ojciec Max i rabin Stas podczas naszych rozmów często szeroko otwierali oczy ze zdumienia. Ale odpowiadali z wielką cierpliwością i otwartością.

Potem ich opowieści spisałam i ułożyłam tak, żeby Wam się tę książkę dobrze czytało. Kiedy już tekst był gotowy, ilustratorka Joasia Rzezak zabrała się do robienia ilustracji. Oj, napracowała się przy tym! Ale dzięki temu nasza książka jest naprawdę piękna. Pracy nad „Boziami” kibicowało mnóstwo osób. O wszystkich pamiętam i wszystkim bardzo dziękuję! A najbardziej dziękuję ciekawskim dzieciom i duchownym, którzy mi zaufali. To oni tak naprawdę są autorami tej książki.

Karolina Oponowicz



•••••
Rozdział pierwszy

Duchowni opowiadają o sobie



Nie wiedziałam, czy to będzie w ogóle możliwe, bo w tamtych czasach niewielu kobietom się to udawało. Byłam przeschęśliwa, kiedy po maturze dostałam się na teologię, gdzie uczyłam



się o Bogu, wierze i Kościele. Potem w parafii pod okiem proboszcza poznawałam codzienną pracę duchownego. Na koniec zdawałam egzamin kościelny. Specjalna komisja sprawdzała, czy będzie ze mnie dobry diakon: upewniali się, że znam i rozumiem Biblię, że umiem wygłaszać kazania i prowadzić nabożeństwa. Egzamin zdałam bardzo dobrze.

Oprócz tego, że jestem diakonem, jestem też mamą. Mam troje dzieci: Łukasz ma 32 lata i jest księdzem w Cieszynie. Mateusz, o rok młodszy, pracuje w firmie transportowej, a Ania, 23-latką, studiuje w akademii muzycznej. Nasze życie rodzinne i parafialne od zawsze się przeplatały. To było

naturalne, że cała trójka szybko zaczęła nam pomagać w parafii: a to rozdawali programy, czyli plan tego, co się będzie działo podczas nabożeństwa, np. jakie pieśni zaśpiewamy; a to pomagali przy poczęstunku w czasie imprez parafialnych. Zdarzały się i takie sytuacje, gdy robiłam coś z dziećmi, a tu dzwonił telefon, że trzeba jechać do szpitala, bo ktoś umiera. No więc jechałam. Przecież nie powiem: – Niech pan poczeka, bo piekę ciasteczka z dziećmi albo siedzę z córką przy pianinie! Duchowny to nie urzędnik, który pracuje od 8.00 do 16.00.

Nazywam się Maksymilian Nawara. Jestem mnichem, benedyktynem. Mieszkam

w starym klasztorze w małej miejscowości Lubiń w Wielkopolsce.

Opactwo, czyli nasz klasztor, leży na wzgórzu i otacza je wspaniały sad.

Razem ze mną żyje tu 15 braci – tak mówią o sobie zakonnicy. Każdy z nas ma swoją celę – tak nazywamy pokój w klasztorze. Wspólnie pracujemy i modlimy się.

Moje klasztorne życie jest dość monotonne. Nie mogę się wyspać do oporu, wszyscy wstajemy o 5.30. Piątek, świątek czy niedziela. Pięć razy dziennie schodzimy się na modlitwę. Każdego dnia w ten sam sposób śpiewamy chorały gregoriańskie. To starożytny śpiew w Kościele katolickim, któremu towarzyszą specjalne ruchy: kroki, pokłony.

Jemy w ciszy. Każdy z nas ma własną łyżkę i metalową miskę, jedną do wszystkich dań. I w ogóle dużą część dnia spędzamy w samotności. Dlaczego? Bo dzięki temu jesteśmy bliżej Boga. Ale w klasztorze wcale nie jest smutno! Mamy tu mnóstwo pracy: jedni bracia szyją, drudzy robią nalewki, trzeci uprawiają pomidory w ogrodzie. A jeszcze inni piszą książki albo prowadzą zajęcia na uczelniach. Często przyjeżdżają też do nas goście. I my sami podróżujemy – ja na przykład spędziłem sporo czasu w Indiach, a ostatnio odwiedzam klasztory benedyktyńskie w Europie.

Poza tym jestem zastępcą opata, czyli szefa naszej wspólnoty. Prowadzę tu też Ośrodek





Medytacji Chrześcijańskiej,
gdzie uczymy ludzi medytowania,
czyli starożytnej mnisiej modlitwy.
Ostatnio wpadłem na pomysł stworzenia
pustelni w lesie. To takie miejsce, w którym
ludzie duchowni i świeccy mogą побыć z dala
od cywilizacji, w całkowitym odosobnieniu.
Oprócz tego, że jestem zakonnikiem, mam też tzw.
święcenia kapłańskie. Skończyłem studia teologiczne,
a potem biskup nałożył na mnie ręce i udzielił mi święceń.
Od tej pory mogę odprawiać msze i udzielać sakramentów.
Jestem w Lubiniu już od 18 lat. Wstąpiłem do zakonu,
jak miałem 19 lat, zaraz po maturze.
Nie urodziłem się w szczególnie religijnej rodzinie. W domu
obchodziliśmy tylko Boże Narodzenie i Wielkanoc. W liceum
grałem na perkusji w kapeli punkowej, miałem mnóstwo
znajomych, chodziłem na imprezy, grałem koncerty garażowe.
I pewnego dnia kolega zapytał mnie: „Po co to wszystko?”. „Jaki
jest sens naszego życia?”. „Po co nam ta muzyka, szkoła, oceny,
potem praca, rodzina?”. Oj, to były bardzo trudne pytania
i długo nie dawały mi spokoju. Szukałem i szukałem
odpowiedzi na nie, aż... spotkałem Boga.
Zdecydowałem, że zostanę mnichem. Najpierw byłem
w tzw. nowicjacie, czyli okresie próbnym. I dopiero po
jakichś sześciu latach złożyłem tzw. **śluby wieczyste**,
czyli uroczyście przyrzekłem, że będę posłuszny
przełożonym, że będę przestrzegał reguł zakonnych,
no i że do końca życia zostanę w Lubiniu i jeszcze że nie
będę miał żony. Na znak, że rozpoczynam nowe życie,
przyjąłem też nowe imię: Maksymilian. Bo wcześniej
nazywałem się Robert.

تَبَّ مَا أَغْبَا

Nazywam się Janusz Aleksandrowicz i jestem imamem. Imam to muzułmański duchowny, a można też powiedzieć, że to po prostu nauczyciel. Ja akurat jestem nietypowym imamem, bo od poniedziałku do piątku pracuję w banku. Dopiero w weekendy i święta zmieniam się w duchownego. Prowadzę modlitwy w meczecie (czyli muzułmańskiej świątyni) i ceremonie typu ślub, pogrzeb, **azan** (to coś w rodzaju muzułmańskiego chrztu). Mam z dziećmi zajęcia o islamie, uczę je kaligrafii arabskiej. Bo żeby móc czytać Koran, naszą świętą księgę, trzeba poznać podstawy języka arabskiego. To wszystko odbywa się w Kruszynianach – małej wsi na Podlasiu, na skraju Puszczy Knyszyńskiej. Opiekuję się tutejszym meczetem, mizarem (czyli cmentarzem) i całą gminą muzułmańską. Mówiąc gmina, mam na myśli nie domy, ale ludzi. Potomków Tatarów, muzułmańskiej społeczności, która od wieków żyje na wschodzie Polski. Chciałbym być do ich dyspozycji codziennie, ale nasza społeczność jest zbyt mała, żeby utrzymać imama na całym etacie.



لما وامدأتته را الهيب و

Wierni mówią do mnie „imamie”, a jeszcze częściej po imieniu. Imam to w muzułmańskiej społeczności ktoś, kogo darzy się szczególnym szacunkiem. Na imama wybiera się człowieka uczciwego, dobrego, lubianego. Kogoś, kto żyje w zgodzie z Bogiem i wszystkimi ludźmi: wierzącymi i niewierzącymi.

Nie trzeba kończyć specjalnych studiów, żeby zostać duchownym. Wystarczy, że przyszedł duchowny wie o islamie więcej niż przeciętny członek społeczności muzułmańskiej.

Ja islam zacząłem poznawać jako mały chłopiec, kiedy przychodziłem na zajęcia do meczetu.

Tak jak moi uczniowie: najpierw uczyłem się

arabskich liter, potem próbowałem sam czytać sury, czyli rozdziały Koranu. Kiedy byłem trochę starszy, lubiłem pomagać imamowi w pracy, np. wykonywałem azan, czyli wezwanie do modlitwy. I tak mnie ten islam zaciekał, że w liceum zaczęło mi chodzić po głowie, żeby się uczyć na imama. Tylko że wtedy w Polsce nie było szkół dla imamów. Na szczęście z pomocą przyszli mi studenci z krajów arabskich, którzy mieszkali w Białymstoku. Pomogli mi zorganizować wyjazd na kurs dla imamów do Sarajewa (wtedy w byłej Jugosławii, a obecnie w Bośni). Potem udało mi się wyjechać na studia do Francji, gdzie studiowałem prawo muzułmańskie.

Mam żonę i troje dzieci: najstarszy Kamil ma 15 lat, Selma ma 8, a najmłodsza Lenka 2 lata.

Imam nie tylko może, ale wręcz powinien mieć rodzinę. Dzięki temu lepiej rozumie wiernych, jest bliżej nich.

إِنَّ اللَّهَ الرَّحْمَنُ الرَّحِيمُ
مَا أَغْنِي



rabinem, czyli nauczycielem, przewodnikiem duchowym

żydów. Prowadzę modlitwy w synagodze – tak się nazywa miejsce, w którym modlą się żydzi. Najczęściej spotykamy się tu w każdy piątek i sobotę, no i w święta.

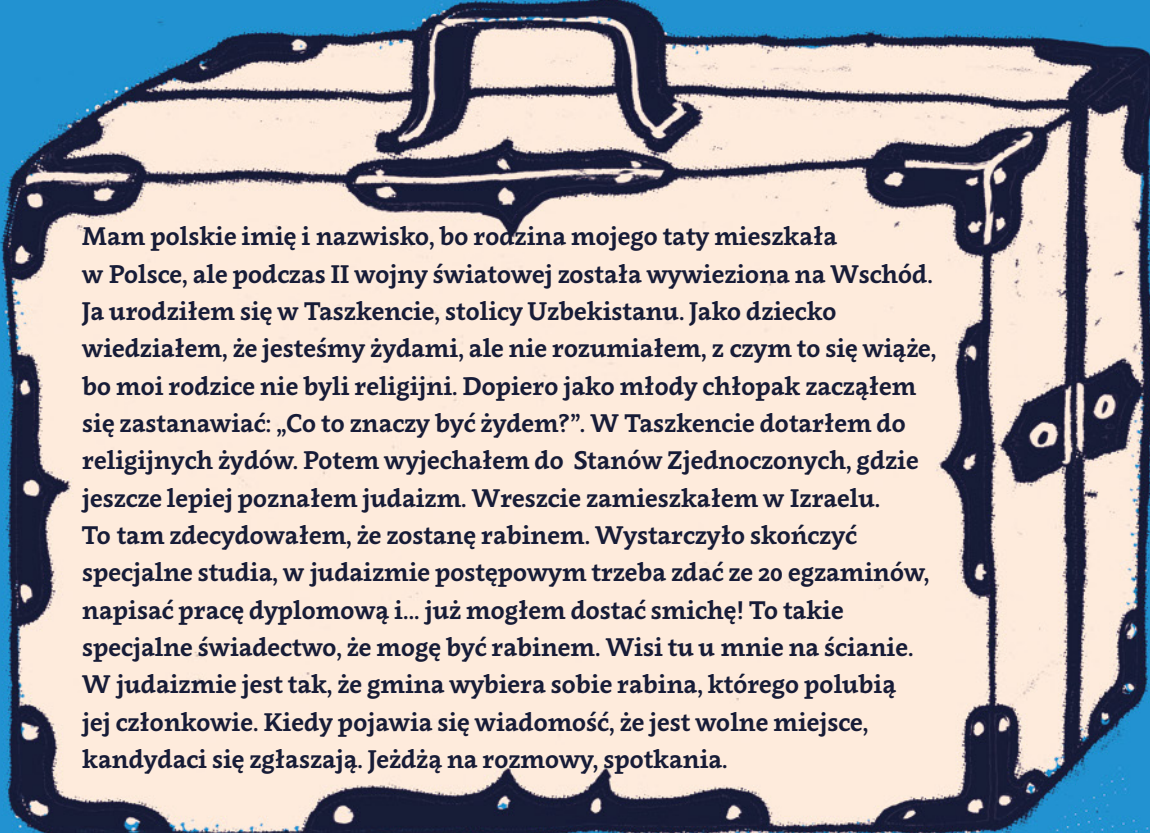
Prowadzę też ważne ceremonie, jak ślub czy pogrzeb. No i uczę ludzi o naszej religii, judaizmie. Na moje zajęcia przychodzą żydzi, którzy wychowali się w Polsce, ale niewiele o naszej religii i żydowskim życiu wiedzą. Poza tym dużo podróżuję po Polsce, bo jestem ciągle zapraszany na rocznice wydarzeń związanych z żydami, na otwarcia muzeów, na spotkania w szkołach. Bardzo lubię zwłaszcza te ostatnie, bo dzieci zadają strasznie ciekawe

pytania. I jeszcze odwiedzam chorych w szpitalach.

Przychodzą też do mnie po radę członkowie mojej wspólnoty, na przykład, kiedy mają kłopoty w pracy albo nie układa im się w małżeństwie, albo po prostu są smutni.

Ostatnio dużo czasu poświęcam na pracę nad modlitewnikiem.

Próbuję unowocześnić język bardzo starych modlitw, które od wieków brzmią tak samo. I tak na przykład dodaje fragmenty o kobietach: zamiast „Bóg naszych ojców” piszę „Bóg naszych ojców i matek”. Bo ja jestem rabinem nowoczesnym. Pracuję w gminie żydowskiej w Warszawie w postępowej wspólnocie Ec Chaim. Postępowej to znaczy takiej, która odeszła od niektórych żydowskich tradycji – u nas kobiety mogą być rabinami, nie nosimy tradycyjnych ubrań, mamy skrócone modlitwy.



Mam polskie imię i nazwisko, bo rodzina mojego taty mieszkała w Polsce, ale podczas II wojny światowej została wywieziona na Wschód. Ja urodziłem się w Taszkencie, stolicy Uzbekistanu. Jako dziecko wiedziałem, że jesteśmy żydami, ale nie rozumiałem, z czym to się wiąże, bo moi rodzice nie byli religijni. Dopiero jako młody chłopak zacząłem się zastanawiać: „Co to znaczy być żydem?”. W Taszkencie dotarłem do religijnych żydów. Potem wyjechałem do Stanów Zjednoczonych, gdzie jeszcze lepiej poznałem judaizm. Wreszcie zamieszkałem w Izraelu. To tam zdecydowałem, że zostanę rabinem. Wystarczyło skończyć specjalne studia, w judaizmie postępowym trzeba zdać ze 20 egzaminów, napisać pracę dyplomową i... już mogłem dostać smichę! To takie specjalne świadectwo, że mogę być rabinem. Wisi tu u mnie na ścianie. W judaizmie jest tak, że gmina wybiera sobie rabina, którego polubią jej członkowie. Kiedy pojawia się wiadomość, że jest wolne miejsce, kandydaci się zgłaszają. Jeżdżą na rozmowy, spotkania.



Przyglądają się sobie nawzajem. Potem z tym jednym gmina podpisuje umowę – na rok, dwa lata albo i pięć. A później – zmiana miejsca. I znów muszą mnie polubić w nowej gminie. Tak, rabin to z definicji osoba w podróży. Ja od kilku lat mieszkam w Warszawie, ale nie mam pojęcia, jak długo tu zostanę ani gdzie wyładuję potem. Pojadę tam, gdzie będę potrzebny.

Nazywam się Artur Aleksiejuk.
Jestem prawosławnym księdzem.

Wierni zwracają się do mnie „Proszę księdza” albo „Ojcie Arturze”. Prawosławnego księdza nazywa się też czasami **batuszką**. Oznacza to tyle co Ojczulek – w języku naszych wschodnich sąsiadów, gdzie mieszka o wiele więcej prawosławnych niż w Polsce.

Prawosławni duchowni, oczywiście z wyjątkiem mnichów, mają rodziny. Ja mam żonę Elę i synka Borysa, który ma 7 lat. O żonie księdza mówi się **matuszka**, czyli mateczka. Jej życie jest ściśle związane z cerkwią. Matuszka pomaga księdzu w jego pracy w parafii. Na przykład śpiewa w chórze, dba o porządek w świątyni albo razem z księdzem opiekuje się parafianami. Może też uczyć religii.

Rodzina prawosławnego duchownego musi dawać dobry przykład innym ludziom. Staramy się szanować nawzajem, pomagać sobie, umieć siebie wysłuchać.



Ela i ja pracujemy w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Ela jest pedagogiem i przygotowuje przyszłych nauczycieli do pracy z dziećmi. Ja jako teolog uczę studentów o Bogu i człowieku. Prowadzę też zajęcia w **seminarium duchownym**, gdzie kształcą się przyszli prawosławni księża. A w ogóle to jestem nie tylko doktorem teologii, ale też inżynierem biocybernetyki. Bo zanim zostałem księdzem, skończyłem politechnikę.

Pracuję też jako duszpasterz w małej kaplicy pod wezwaniem świętego męczennika archimandryty Grzegorza w Warszawie. Sprawuję tu nabożeństwa, spowiadam, udzielam chrztów i uczę dzieci religii. Mój synek Borys chętnie pomaga mi w cerkwi. Kiedy był młodszy, często bawił się „w cerkiew”. Robił kadzidło ze wstążki, doczepiał do niej dzwoneczki i i udawał księdza. Machał nimi i śpiewał, a my musieliśmy być jego parafianami. Teraz ma inne zabawy – w rycerzy, piratów.

Urządza też przedstawienia teatralne i bardzo lubi czytać książki. A w cerkwi jest ministrantem. Chodzi ze świeczką, a nawet umie sam rozpalić węgielek do kadzidła!

Bardzo lubię pomagać ludziom. Dlatego kilka lat temu założyłem stronę internetową, gdzie prowadzę internetowe Pogotowie Duszpasterskie. Wiele osób pisze do mnie maile. Pytają o prawosławie, dzielą się swoimi kłopotami, na przykład gdy się nieszczęśliwie zakochali. Staram się ich wspierać. Założyłem też pierwsze w Polsce Prawosławne Poradnictwo Duszpastersko-Psychologiczne. Co tydzień przyjmuję ludzi, którzy potrzebują rozmowy.



**Nazywam
się Waldemar
Zych i jestem lamą
buddyjskim.** Najczęściej mówi

się o mnie lama Rinczen. To
tybetańskie imię otrzymałem,
gdy zostałem mnichem. Znaczy
tyle co drogocenny klejnot.

A tytuł lamy nie ma nic wspólnego
z górskim zwierzęciem żyjącym

w Andach. To słowo
dosłownie znaczy „nic
wyższego”, a w praktyce
oznacza, że jestem nauczycielem

buddyzmu. Pomagam ludziom
w studiowaniu tekstów buddyjskich
– są to np. mowy Buddy czy opis zasad,
jakimi rządzi się świat. Prowadzę
ceremonie religijne.

Lamą zostałem w nietypowy sposób.

W Azji, skąd pochodzi buddyzm,
przyszły mnich udaje się na
odosobnienie w klasztorze.

Ale ja nie miałem jak wyjechać
w Himalaje, wybudowałem więc sobie
drewnianą chatkę na wsi, w której
żyłem i oddawałem się praktyce
duchowej. W sumie 4,5 roku. W tym
czasie modliłem się, medytowałem,
trochę czytałem. I, oczywiście, jadłem
i spałem. A czasem udawało mi się
nawet trochę pospacerować w małym
ogródku, który sobie urządziłem. Kiedy

zakończyłem odosobnienie, marzyłem o wyjeździe
do klasztoru w Azji, żeby tam kontynuować mnisie życie,
które zdążyłem bardzo polubić. Ale Tenga Rinpocze,
mój nauczyciel, powiedział: „O nie, czy nie lepiej będzie,
jeśli zostaniesz w Europie i będziesz tu służył swoją
wiedzą?”. Tak zrobiłem. A żyjąc wśród zwykłych ludzi,
zdecydowałem się zrezygnować z bycia mnichem i zostałem
świeckim nauczycielem buddyzmu – lamą.



Od lat mieszkam
w Grabniku niedaleko
Warszawy. Mamy tu ośrodek
buddyjski, Centrum Bencien, za który
jestem odpowiedzialny. To polski oddział klasztoru
buddyjskiego w Katmandu, stolicy Nepalu. Spędzam tam
kilka miesięcy w roku. To mój drugi dom, mam tam nawet
swoją pokój. Tak więc sporo czasu poświęcam na podróże: nie tylko
w Himalaje, bo odwiedzam również buddyjskie ośrodki w Europie.
Mam żonę, Agnieszkę, która też jest buddystką i razem ze mną mieszka
w Grabniku. Tłumaczy teksty buddyjskie, prowadzi naszą stronę internetową.

Nie ma niczego dziwnego w tym, że lama
ma rodzinę. Znam nawet małżeństwo,
w którym zarówno mąż, jak i żona
są lamami. Tak, kobiety też mogą
być nauczycielami buddyjskimi

i mniszkami.

Mnisi
oczywiście
nie mogą
wziąć ślubu.

To ludzie, którzy żyją
w klasztorach i rezygnują
z pracy zawodowej,
bogactwa, rodziny. Sto
procent czasu poświęcają
na naukę, modlitwę.

